

Białoruska niepewność

Agata Araszkievicz

Letnie miesiące spędzam w Warszawie i dzięki temu mogę nie tylko uczestniczyć bezpośrednio w życiu kulturalnym, towarzyskim, ale także być bliżej polskich fantomów. A wydaje mi się, że to właśnie skryte, skomplikowane mechanizmy życia zbiorowego ujawniają najbardziej wyraziste napięcia codzienności, definiując charakter głębokich zmian i wykuwającej się w nich przyszłości. Kim jesteśmy i dokąd idziemy? – to chyba najważniejsze pytania transformacji. Stawiamy je sobie nie tylko w sensie politycznym, ekonomicznym, ale przede wszystkim kulturowym i cywilizacyjnym.

Jednym z najmocniejszych punktów na mapie tego wykuwania narodowego charakteru jest katastrofa smoleńska i wszystko, co wokół niej się toczyło. I co ciągle trwa. Zupełnie przypadkiem brałam udział w rozmowie o smoleńskich grobach – na warszawskich Powązkach, w ich części oficjalnej, czyli na cmentarzu wojskowym, dla ofiar katastrofy przeznaczono ładny kwartał zieleni. Pośrodku stoi wielki pomnik stworzony z dwóch części przeciętych na pół, jakby pękniętych, ogromnych granitowych płyt. I właśnie to pęknięcie – ta rysa na tożsamości jest chyba najważniejszą cechą sprawy smoleńskiej. Podzieliła ona polskie społeczeństwo na dwie wyraziste strony: tych, co wierzą w kosmiczną, deresponsabilizującą siłę sprawczą politycznego zamachu, i tych, którzy próbowali inaczej,

przewartościowująco i twórczo, w bardziej lub mniej skuteczny sposób, interpretować jej znaczenie. Sprawa smoleńska wniosła dodatkowo jeszcze jedną wątpliwość: do jakiej cywilizacji właściwie należymy? Czy do technokratycznie sprawnej, technologicznie rozwiniętej cywilizacji Zachodu, która szczyli się wysokimi procedurami bezpieczeństwa i troską o funkcjonalność swych systemów? Czy do emocjonalnie rozchwianej, żyjącej kompensacyjnymi mitami podmywanymi stałym negocjowaniem z własnym poczuciem niższości cywilizacji Wschodu?

Specjalnie używam tu kolonizacyjnych, przejaszczonych i zafałszowanych kalek w nakreśleniu tej dychotomii. Zatrzymam się jeszcze chwilę przy smoleńskich grobach. Odwiedziłam je w pewne piękne lipcowe popołudnie, prawdziwym polskim latem. Niebo było bezchmurne, a na cmentarz padał przyjemny cień. Wszystkie groby są do siebie zbliżone formą, różnią się detalami, niektóre są barokowo rozbudowane, inne mają rozwinięty tylko jakiś szczegół. A na większości z nich widnieją dość duże, odcisnięte na porcelanie, tak zwane „portfelowe” zdjęcia, najczęściej czarno-białe. I właśnie ten szczegół dyskutowany był w rozmowie, w której przypadkowo wzięłam udział: ich rozmiar, ich „rozmach”, ich... wschodniość. Te „portfelowe” zdjęcia rozmiarem swoim przypominają zdjęcia z wakacji, zmarli są na nich przedstawieni w bardzo żywotny, czasem ironizujący, zaczepny, wesoły sposób. I jest to bardzo wzruszające w pewnym sensie i nie mniej intrygujące – w żadnym momencie nieprzypominające tradycyjnych polskich nagrobków, które w bardzo określony, powściągliwy sposób sygnalizują swoją żalobę. Tutaj żałoba jest jak gdyby „przechytrzona” (może to sposób na patetycznie lamentujących zwolenników zamachu?), oddalona (oddala piętno okrucieństwa losu zbiorowej tragedii). Ale skąd ta tradycja? Podobno nagrobne medaliony wykonuje producent z... Białorusi. +

I może rzeczywiście widać w nich ślady prawosławnych ikon – świadomość, że wizerunki powstające na styku życia i śmierci, tego, co doczesne, i tego, co pozostaje metafizyczną tajemnicą, niosą w sobie owo „świadczenie zetknięcia”. Ikony poświęcone osobom boskim same w sobie stają się „boskie”, pośredniczą w modlitwie, uosabiają i reprezentują świętego, dzięki nim on lub ona są fizycznie obecni w danym miejscu. I w pewnym sensie ten wschodni styl rozumienia obecności tego czy tych, co są (już) po „drugiej stronie”, stał się sposobem na przeżywanie, tak bardzo uwikłanej w walkę o Polskę, żałoby smoleńskiej.

A w tym fakcie ujawnia się jeszcze bardziej niepewny, zawieszony między Zachodem a Wschodem, status polskiej tożsamości. W ciągu transformacji, wraz z wejściem do Unii Europejskiej, Polska pożegłowała symbolicznie w stronę Zachodu. Równocześnie jej napięcia związane z własną tożsamością wzrosły. Zdarza mi się uczestniczyć w warszawskich rozmowach inteligenckich – związanych choćby z otwarciem nowego modnego, zbyt „zachodniego” miejsca, podczas których padają afirmatywne wyznania w rodzaju: „tu jest Wschód!”, „jesteśmy na Wschodzie i koniec!”. Pytania, które należy zadać, dotyczą może mnie tego, jak i dlaczego przebiegają owe napięcia między zachodnią wschodnością i wschodnią zachodnością (zadane zresztą polskości już dawno przez staropolskich sarmatów). Prawdopodobnie istotniejsze będą tu inne pytania. Czym jest dla nas Wschód? I czym jest ów nasz Wschód?

Wiemy, czym jest Zachód dla nas (na pewno jakością ambiwalentną, ale jednak jakością), ale przyglądając się wschodności, musimy także zderzyć się z pytaniem: kim my jesteśmy dla Zachodu? Wschodem dla nas, prócz wielkiej Rosji, są dwa sąsiadujące, niebędące częścią Unii Europejskiej, kraje: Białoruś i Ukraina. Kraje, które nie weszły w bezpośredni, zachodni, eu-

ropejski pakt i z którymi nasza historia łączy nas w skomplikowany, złożony, „sąsiedzki” sposób. Z pewnością Białoruś jest tu większym wyzwaniem: dziedzictwo komunizmu najbardziej na niej zaciążyło. Pozostała ekonomicznym skansenem wprzęgniętym w silnie kontrolowany, pozbawiony obywatelskich swobód, polityczny reżim. W tym sensie niepewność Białorusi jest najściślej obszarem ideologicznego zwania między Wschodem a Zachodem: między przepoczwarczającymi się systemami totalitarnymi a stylem renegocjonalnej demokratycznej swobody.

Nasza wschodniość każe nam jednak czuć się w demokracji nie do końca pewnie. Nie wiadomo, jak upolitycznić lewicowe, odnoszące się do indywidualnych praw jednostki, cele; jak skutecznie wprowadzić do mainstreamu związane z emancypacją kobiet i mniejszości seksualnych treści. Niedawno odbył się w Warszawie V Kongres Kobiet, inicjatywa zapoczątkowana przez feministki, którą można określić jako próbę ruchu społecznego na szerszą skalę. W tym roku uczestniczkami było około 9 tysięcy kobiet z całej Polski, które spotkały się głównie wokół panelowych dyskusji związanych z prawami pracy czy zdrowiem. Równoległe w „Gazecie Wyborczej” ukazał się wywiad z jedną z twórczyń Kongresu, liberalną feministką Magdaleną Środą, w którym zaczęta dziennikarka przepytowała ją z podziału prac domowych. Temat polityczny i bardzo na czasie, podobnie jak inne polityczne, obyczajowe, mentalne aspekty Kongresu. Wydawać by się mogło, że to dobry moment, aby je analizować w prasie. Nic bardziej mylnego. Dziennikarka dość reakcyjnie przepytowała profesor Środę, kto zmywa naczynia w domu, gdy ona zajęta jest czymś innym. Wszak na ofiarnej pracy kobiet ład społeczny stoi... Niezbita niczym z tropu profesor filozofii odpowiada (cytuje z pamięci): „Pralka pierze, zmywarka zmywa, prasować nie potrzebuję, gotować lubię, a poza tym mam panią do sprzątnięcia”.

No i się zaczęło. Młode środowiska lewicowe i częściej feministyczne rozpętały burzę w sieci, że feministka ubliża innym kobietom, arogancko się wywyższając (że wszystko jej przychodzi lekko), ale nade wszystko, że eksploatuje inne kobiety. Czyli zamiast merytorycznych debat mamy znowu rodzaj tematów zastępczych i przemieszczonych – nie odbyła się nigdy otwarcie dyskusja, czy feminizm liberalny jest reprezentatywny dla środowisk kobiecych w Polsce, jakie medialne i polityczne cele mają one osiągnąć, czy istnieje jakiś rodzaj platformy hasel, które należałoby w pierwszej chwili lobbować. Ponieważ nie ma świadomości, nie ma też prawdziwego rozliczenia. A ciężka organizacyjna praca nie przyczynia się do wzrostu środowiskowego zaufania, tak jak organizacyjny sukces nie budzi środowiskowego, również politycznego, prestiżu.

Kilka dni później uczestniczyłam w zorganizowanej przez Jana Sowę konferencji o panslawizmach (pełny tytuł: Panslawizmy. Ucząc się nowoczesności od Europy Środkowej i Wschodniej) z okazji polsko-litewskiej wystawy kuratorowanej przez Joannę Warszawę i Virignię Januškevičiūtė. Rzecz cała działa się w monumentalnym budynku byłego KC PZPR, czyli obecnej siedzibie giełdy, w imponującym byłym gabinecie Edwarda Gierka. Wśród zaproszonych gości znaleźli się między innymi specjalista od relacji polsko-ukraińskich Daniel Beauvois i bułgarski filozof Alexander Kiossev, twórca pojęcia „samokolonizacji”. W pewnym momencie dyskusja konferencyjna zeszała na tematy związane z wizerunkami polskich zawodów usługowych (typu robotnik hydrauliczny, pani do sprzątnięcia) w filmach hollywoodzkich. Polonia amerykańska, a zwłaszcza jej kobieca część, wedle statystyk wydaje się nawet dumna z tego, że filmowy stereotyp przedstawia Polkę jako fanatyczkę czystości, idealną gospozię i zaradną opiekunkę do dzieci. Alexander Kiossev zadał wtedy pytanie: czy polskie feministki w Ameryce nie protestowały nigdy przeciwko tej

ograniczającej kliszy polskiej kobiety? A mnie oświeciło – może w Ameryce nie protestowały, ale debata na temat modelu polskiej kobiecości toczy się na polskiej ziemi. W gruncie rzeczy szła, jaki wywołała pani do sprzątnięcia Magdy Środy (pani do sprzątnięcia, która w tym czasie nie uczy się śpiewu ani nie rozwija i której imienia nie znamy, która być może jest Ukrainką lub Białorusinką), nie jest niczym innym jak zakamuflowaną opowieścią o naszym własnym, polskim (kobiecym) poczuciu niższości. Autobusy z polskimi kobietami jadą, nie tylko z Siemiatycz, by być paniami do sprzątnięcia na Zachodzie. Nie doczekano się to może jeszcze większych analiz. Jednak skupienie na pani do sprzątnięcia Magdy Środy, które przecież mogłoby się przerodzić w apel o bardziej równą dystrybucję prac domowych czy zalegalizowanie nielegalnej pracy, świadczy w gruncie rzeczy o nieprzepracowanym problemie zmieniającej się w transformacji polskiej, kobiecej tożsamości. Nie wiadomo, czy ten wzór jest bardziej ofiarniczy, czy ma być bardziej podmiotowy i kto ma być ofiarniczy, a kto podmiotowy – pani do sprzątnięcia czy Magda Środa? Czy obie mogą być podmiotowe, czy muszą być razem ofiarnicze? W gruncie rzeczy – tak, jak zostało ono przeprowadzone – rozliczanie profesor filozofii z jej własnej pani do sprzątnięcia odmawia podmiotowości obu kobietom. I wskazuje chyba na totalne zagubienie naszych wyobrażeń i oczekiwań związanych z kobiecością. Pani do sprzątnięcia to figura, z którą Zachód w ogóle stereotypowo utożsamia polską kobietę. Czy my samokolonizacyjnie nie uwewnętrzniamy tych kalek?

Jakim Wschodem (środkowym Wschodem) mamy być dla siebie samych i innych? Czy nie boimy się, że dla Zachodu jesteśmy po prostu kimś w rodzaju białoruskiej pani do sprzątnięcia (i to jest lęk uwewnętrzniony)? Jak akceptujemy swoją ekonomicznie niższą (średnią?) pozycję: czy jako otwarcie na Wschód, czy lęk przed nim, przed nami samymi? ●